Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr 38 (95) Warszawa, czwartek dnia 17 listopada 1938 r. ROK III

Kryzys polityki bluffu

W powodzi dziennikarskich notatek znaleźliśmy niedawno dwie drobne, ale niesłychanie charakterystyczne wiadomości, skłaniające nas zresztą do refleksji natury ogólniejszej.

Pierwsza informowała nas, że Klub Demokratyczny postanowił nie wystawiać własnej listy w wyborach do samorządu, polecając swym członkom głosować w mieście na listy P. P. S. a na wsi na listy Stronnictwa Ludowego. Druga wiadomość donosi, że „Falanga" również postanowiła nie występować z własną listą „aby nie rozbijać głosów polskich".

W ten oto sposób rozwiały się dwa z wielu bluffów, dwie z wielu fikcyj, jakie ciążą nad polskim życiem politycznym i zaciemniają jego prawdziwy obraz.

Jasne jest bowiem, że powyższe rezygnacje trzeba traktować jako wykręty dyktowane lękiem przed zdradzeniem prawdziwego zasięgu swych wpływów. Dlaczegóż bowiem wobec takiej zbieżności poglądów członkowie Klubu Demokratycznego w ogóle nie rozwiążą Klubu wstępując do P. P. S. w mieście, a do S. L. na wsi? Dlaczegóż „Falanga" uważa za stosowne „rozbijać głosy polskie" na innych terenach, gdzie nie trzeba wykazywać się konkretnie ludźmi i wpływami? Gdzież są te olbrzymie armie którymi nas straszył Klub Demokratyczny, gdzież są te osławione „doły legionowe", ta zbuntowana „lewica legionowa", ta inteligencja lewicowa o której grzmi „Czarno na Białem"? A gdzież te masy „narodowo - radykalne", gdzież ta „ulica narodowo - radykalna", o której czytamy stale w „Falandze", gdzież te tysiące karnych i gotowych na wszystko bojowców? Wyobrażamy sobie jak bardzo żałują sztaby Klubu Demokratycznego i Falangi, że nie ma żadnego pretekstu, aby „zbojkotować wybory samorządowe. Wtedy siedziałoby się z obrażoną miną w kawiarni i z dumą rejestrowałoby się jako „swoich ludzi" wszystkich niegłosujących ze starcami i kalekami włącznie.

Pisząc te słowa nie uważamy bynajmniej, aby miało jakiekolwiek znaczenie czy zgłosi czy nie zgłosi swe listy jakaś obrotna i hałaśliwa, a bez żadnego znaczenia grupka. Ale raz jeszcze z wielkim uznaniem notujemy fakt, że rozpadły się dwie fikcje wzrosłe i sztucznie wzniecane na peryferiach dwóch skrzydeł układu partyjnego.

Inna fikcja rozpadła się przed dwoma tygodniami, fikcja wpływu sztabów partyjnych na masy. Frekwencja wyborców do Sejmu wykazała dobitnie jak nikłą jest już nie tylko faktyczna liczebność każdej z osobna rzekomo masowej partii, ale nawet suma tych wszystkich masowości razem wziętych.

Nadzwyczaj zdrowym i oczyszczającym objawem jest zawsze taki moment rozwiewania fikcji, wszystko jedno wielkich czy małych. Bo fikcje zaciążyły nad polskim życiem politycznym w niezwykle sugestywny sposób. Bluff stał się stałą metodą działania.

Hierarchię ocen i możliwości poszczególnych grup kształtowało się w opinii publicznej nie na zasadzie istotnych wartości reprezentowanych przez daną grupę, ale na podstawie zręcznie stwarzanych pozorów; tupet i umiejętność bluffowania nieraz znacznie więcej popłacały na giełdzie politycznej niż konkretny i istotny dorobek. Działalność społeczno - polityczna w większej mierze polegała na wytwarzaniu nastrojów, na wytwarzaniu „atmosfery" czy odpowiednich „klimatów" niż na stwarzaniu realnych wartości. W tej sytuacji najważniejsza była ilość „kontaktów", ilość „konferencji" na których okłamywano się w żywe oczy olbrzymimi rzekomo „wpływami", czy magią papierowych cyfr i danych bez najmniejszego pokrycia w rzeczywistości. Szantażowano się olbrzymimi wpływami w masach, rozważano przy paktach „czy teren się nie sprzeciwi", „czy doły organizacyjne się zgodzą", imponowano sobie kontaktami, dawano do zrozumienia półsłówkami i niedomówieniami, że „Zamek i GISZ"... jednym słowem bluff, bluff i jeszcze raz bluff. Chytrze zainspirowany artykuł, jakaś wytęskniona wzmianka w „Gońcu" czy „Wieczorze", jakiś sfingowany atak czy polemika wyolbrzymiające w istocie rzekomego przeciwnika, to były elementy działania politycznego. Rzeczywistość polityczna Polski przypominała jakiś bal maskowy, na przedmieściu, gdzie snują się niewiadome intrygi i kwitną obiecujące flirty, zanim hrabia przybyły świeżo z Paryża nie okaże się pomocnikiem fryzjerskim z Mokotowa, a primadonna operetki „panną sklepową" z konfekcji damskiej.

Taki właśnie polityczny bal maskowy trwa w Polsce już dosyć długo. Ale teraz zabawa już się kończy. Czas już zdejmować maski choć nieraz może to być bardzo żenujące.

Z takim właśnie zażenowaniem Klub Demokratyczny i Falanga tłumaczą się ze swej

słabości. Z takim samym zażenowaniem sztaby partyjne perswadują swym „dołom”, że frekwencja wyborców nie była znowu taka bardzo wysoka. Ale wszelkie znaki na ziemi i na niebie wskazują, że koniunktura na politykę bluffu skończyła się definitywnie. Teraz muszą się już mierzyć ze sobą realne osiągnięcia. Wybory do Izb Ustawodawczych, wybory do samorządu to trudne przeszkody dla zwolenników polityki bluffu. Toteż odpadło ich już trochę, a pozostałych czekają jeszcze cięższe przeszkody, jeszcze trudniejsze momenty konfrontacji z rzeczywistością, konfrontacji, która zawsze rozwiewa fikcje i miraże.

Poza misterną plątaniną „kontaktów” i „konferencji” narastają te właśnie realne osiągnięcia tworzone z energią na gruncie pozapartyjnym. Zjednoczenie Narodowe dokonywane w imię konkretnych zadań państwowych, to jedno z tych osiągnięć. Wybory do ciał ustawodawczych to fragment postępu w dziedzinie ustrojowo - politycznej. Zaczątki wielkich zrywów i postępów organizacyjnych w dziedzinie techniczno - gospodarczej to jakże istotny sukces niewspółmiernie donioślejszy niż wszystkie układy partyjno - personalne. Poważne i przemyślane inicjatywy w dziedzinie upowszechnienia kultury i oświaty to inne fragmenty tej samej wielkiej akcji.

Reasumujemy: Polityka blufføw, którą scharakteryzowaliśmy powyżej może święcić tryumfy w okresie statyki, bierności i dekompozycji. Epoka wielkich realizacji, która się rozpoczyna, ukaże jej całą małość i śmieszność.

Rola Senatu

Senat jest niewątpliwie instytucją elitarną. Mała liczba senatorów (96) w porównaniu do liczby posłów, w tym ⅓ część powoływana z nominacji przez Prezydenta R. P. stanowi o charakterze swoistym tego organu. Elitarność tego organu przejawia się zarówno w kwalifikacjach wyborców (cenzusy), redukujących liczbę uprawnionych do głosowania do około 0,85% ludności kraju, gdy liczba wyborców do Sejmu stanowi około 50% ludności, jak i w praktycznej dwustopniowości wyborów do Senatu.

Uprawnieni wybierają delegatów na wojewódzkie kolegia wyborcze, kolegium wyborcze wybiera komisję główną, złożoną z 15 członków, komisja ustala kandydatury, poddawane pod głosowanie na plenum kolegium. Jak widzimy — selektywność wyborów jest tu znaczna. Świadczy ona, że ustawodawca przewidział dla Senatu funkcję specjalnie ważną.

Istotnie tak jest. Senat według Konstytucji Kwietniowej jest instytucją rozwagi i umiaru państwowego, niejako filtrem izby pierwszej. Bowiem żadna ustawa nie może stać się prawomocna bez uchwalenia jej przez Senat. Postanowienie to nie jest bezwzględnym, gdyż projekt ustawy odrzucony przez Senat staje się prawomocną ustawą, wymaga jednak uchwały Sejmu większością kwalifikowaną $^{3}/_{5}$ głosów. Z drugiej jednak strony poprawki Senatu do projektów uchwalonych przez Sejm stają się prawomocnymi, jeśli nie powstanie w Sejmie opozycja większości kwalifikowanej 60%. Obecna większość sejmowa O. Z. N. wynosi około 78%, czyli o 18% przewyższa większość kwalifikowaną ($^{3}/_{5}$). Przy założeniu jednomyślności posłów - członków O. Z. N. rola Senatu jako filtru, może praktycznie sprowadzić się raczej do czynnika refleksyj niż decyzyj.

Nie osłabia znaczenia Senatu sam fakt, że nie ma on prawa początkowania, czyli jak to po policie mówi się, inicjatywy w zakresie ustawodawczym, stawiania wniosków, żądających ustąpienia rządu lub ministra, zmiany Konstytucji, uchylenia zarządzeń, wprowadzających stan wyjątkowy.

Według Konstytucji, Marszałek Senatu sprawuje czasowo, w okolicznościach ściśle przewidzianych, funkcje zastępcy Prezydenta, gdy urząd Prezydenta jest opróżniony. Jest on również przewodniczącym zgromadzenia elektorów, wybierającego Prezydenta R. P. Ta personalna prerogatywa Marszałka Senatu udziela izbie, którą reprezentuje, a więc gronu, z którego wychodzi wysokiego prestiżu wśród innych organów państwa.

W instytucji Senatu tkwi bardzo ważna funkcja ubezpieczenia przed „lekkomyślnym” obalaniem rządu lub ministra. Wniosek sejmowy, żądający ustąpienia rządu lub ministra — w wypadku niewyciągnięcia z niego konsekwencji przez Prezydenta R. P. w ciągu 3 dni — przechodzi do Senatu, który decyduje. Jest to prerogatywa o wielkim znaczeniu.

System elastyczności, którym odznacza się nasza Konstytucja i tu osłabia ostateczność decyzji Senatu. Gdyż, zarówno po wniosku Sejmu jak i po decyzji Senatu, Prezydent R. P. może rozwiązać izby, jeśli nie usunie rządu lub ministra.

W świetle omówionych postanowień Konstytucji i o funkcji Senatu widzimy, że winien on być kuźnią racji stanu i głębokiej rozwagi. Przez filtr rozsądku politycznego i obiektywizmu winny przechodzić uchwały sejmowe, powstałe częstokroć w atmosferze emocjonalnej, która jest cechą nieodłączną izby posłów. Izba posłów wybierana przez około 50% ludności państwa z osób, od których *formalnie* nie wymaga się wysokich kwalifikacyj cenzusowych, jest w konstytucji swej i sposobie wyboru bardziej demokratyczną. Tam ścierać się będą w mniejszym lub większym zakresie słuszne interesy grupowe. Niewątpliwie ze składu obecnego Sejmu łatwo wnioskować, że walka tych interesów, ścieranie się na tych płaszczyznach, ograniczona będzie decyzjami o interesach nadrzędnych. Tej roli Sejmu winien sekundować Senat, jako izba o mniejszych co prawda uprawnieniach formalnych, lecz nie mniej mogąca posiadać wielki ciężar gatunkowy, a więc mogąca przemawiać perswazją i autorytetem.

Dwuizbowość układu parlamentarnego posiada głębokie znaczenie. O ile Senat jest largo sensu przedstawicielstwem narodowym, może więc mieć charakter instytucji, baczącej na realizację sprawiedliwego traktowania w ustawodawstwie *spraw społecznych* [1]), o tyle Senat, jako instytucja elitarna, winna mieć w swej pracy przewagę wartościowania ustawodawstwa z punktu widzenia *spraw państwowych*. Nie są to funkcje ściśle dające się podzielić, lecz raczej sprawa preponderencji ducha ożywiającego każdą z izb.

Formalne uprawnienia Senatu wobec zorganizowanej większości sejmowej tracą swą siłę. Pozostaje Senatowi w jego oddziaływaniu na izbę pierwszą droga perswazji, obiektywizmu, mądrości politycznej, argumentacji na wysokim poziomie, dbałości o rację stanu. Możność przejawiania się tych walorów zależna jest w prostej linii od poziomu Senatu i szacunku do tej instytucji ze strony Sejmu.

Kadencja świeżo wybranych Ciał Ustawodawczych należy do jednych z najtrudniejszych okresów z życia Parlamentu Rzeczypospolitej. Dokończenie budowy ustroju przez zmianę ordynacyj, wybór Prezydenta R. P. oraz ustawodawstwo, godne epoki dozbrojenia i rozwoju państwa — to zadania wysoce odpowiedzialne.

---

[1]) Oczywiście niezależnie od tego przechodzi przezeń całe ustawodawstwo państwowe i dbałość o państwo jest cechą podstawową prac Sejmu.

WYDAWNICTWA NADESŁANE.

A. Bocheński, St. Łoś, Wl. Bączkowski: — **„Problem polsko - ukraiński w ziemi czerwieńskiej”**. Polityka, Warszawa 1938, nakład drugi, str. 244.

St. Wojciechowski: — **„Moje wspomnienia”**, Książnica Atlas, Warszawa 1938, str. 366.

K. Buhle i inż. T. Rumpel: — **„Prawda o kotoninie”**, Nakład Zrzeszenia Producentów Kotoniny, Warszawa 1938, str. 28.

E. Schopen: — **„Morze Śródziemne”**, Przemiany, Książnica Atlas, Warszawa 1938, str. 119.

Bank — miesięcznik — październik.

Dekoncentracja

Każdy, kto przeszedł przez jakieś laboratorium, z prawdziwą przyjemnością przeczyta wydaną przed kilku laty w polskim przekładzie powieść Vicki Baum p. t. „Studentka". Autorka z dużym znawstwem życia laboratoryjnego i sporą dozą wnikliwości opisała niewielkie niemieckie miasteczko uniwersyteckie, służące jej za tło dla pięknej postaci bohaterki. Nie dla walorów literackich, które są w tym wypadku zupełnie obojętne, wspomnieliśmy ową książkę, ale dla przypomnienia ścisłego i zażyłego stosunku, jaki łączył w niej profesora z uczniami - studentami, odrabiającymi nie jakieś zaawansowane prace naukowe, ale poprostu zwykłe studenckie ćwiczenia.

W czytelniku ta interesująca książka nie może nie wzbudzać lekkiej zazdrości. Nasze stosunki uniwersyteckie znacznie odbiegają od przedstawionego w niej obrazu. Pierwszy ściślejszy kontakt z profesorem - wychowawcą zawiązują się przeważnie dopiero w okresie pracy dyplomowej, stanowiącej zaledwie 12 — 15% czasu trwania studiów. W tych warunkach szkoła akademicka właściwie przestaje być szkołą akademicką. Zasadnicza, od wieków ustalona metoda pracy w wyższych uczelniach polega na samouctwie wykonywanym pod bezpośrednim kierunkiem i nadzorem profesora oraz przy stałej pomocy o charakterze raczej technicznym, okazywanej przez asystenta -instruktora. W Polsce, gdzie nie udało się stworzyć warunków niezbędnych dla jej wprowadzenia w życie, profesor z roli wychowawcy-przewodnika zeszedł do funkcji wykładowcy i egzaminatora. Jednocześnie, li-tylko z powodu braku odpowiedniego kierownictwa nad studiującą młodzieżą, nadwerężona została w znacznej mierze druga podstawowa zasada metodyki akademickiej i indywidualny dobór programu studiów. Brak codziennej kontroli postępów zmusił do wprowadzenia periodycznej i szablonowej, a wskutek tego bardzo często iluzorycznej kontroli poprzez sztywny system egzaminów. Profesor Łempicki zauważył kiedyś, że można zdać egzamin odrazu, choć z trudnością, ale można po paru razach jakoś przebrnąć i w ten sposób iść przez całe studia. Tą drogą studia stały się nie wychowywaniem ludzi inteligentnych, ale produkowaniem „wielkiej i coraz większej ilości miernot, zaopatrzonych w dyplomy, a przeważnie niewykwalifikowanych i niezdolnych do zajmowania żadnego odpowiedzialnego stanowiska".

Poszukiwanie winnych z pewnością pozostanie bez rezultatu. W ciągu niepełnych trzydziestu lat, przy stale niedostatecznym subsydiowaniu szkół akademickich liczba studentów wzrosła w Polsce trzykrotnie. Nic dziwnego, że rozwój szkolnictwa nie mógł być zbyt planowy i że niewiele czasu poświęcano zagadnieniom strukturalnym. A że jeszcze z zupełnie zrozumiałych, choć wyraźnie prywatnych powodów kandydaci na profesorów nie chcieli opuszczać największych miast, przeważnie siedzib przedwojennych uniwersytetów, więc niektóre ośrodki akademickie zostały rozbudowane do rozmiarów wręcz monstrualnych. Odnosi się to przede wszystkim do Warszawy. Uniwersytet Józefa Piłsudskiego liczył w r. 1936 — 37 8903 studentów tj. 18,45% ogólnej ilości w Polsce, a miasto Warszawa 20107 studentów tj. 41,66%. Politechnika Warszawska, licząca w r. bieżącym przeszło 4700 studentów jest, jak to stwierdził w swej niedzielnej mowie [1]) rektor Zawadzki, najliczniejszą politechniką świata. Lwów gości w swych murach 9230 akademików (19,13%) a Kraków 7831 (16,23%).

Przytoczone liczby tłumaczą bardzo łatwo znane powszechnie zjawisko upadku stowarzyszeń akademickich. Nadmierny rozrost liczbowy zarówno poszczególnych uczelni jak, całych środowisk uniemożliwił zachowanie jakiejkolwiek wspólnoty wśród studentów. Przez pewien czas utrzymywały się one siłą bezwładności, znakomicie wspieraną przez udział w życiu akademickim niezmiernie aktywnego i wyrobionego elementu, który wzajemną solidarność utrwalił na polu bitwy. Gdy byli żołnierze frontowi odeszli, stowarzyszenia musiały upaść. Tym samym faktem można wytłumaczyć ogromne powodzenie ruchów masowych w okresie, gdy społeczność akademicka przeżywała wraz z całym społeczeństwem okres silnych tarć politycznych i ideowych. Drobne elitarne, czy choćby tylko czysto wychowawcze grupy poprostu zatracały się wśród masy studenckiej, liczącej osiem, dziesięć czy dwadzieścia tysięcy ludzi.

Masowy charakter uczelni nie był jedyną przyczyną klimatu psychicznego, nieodpowiedniego dla młodzieży akademickiej. Niekorzystnie oddziaływało również związanie studenta z gwarnym, męczącym i rozpraszającym uwagę środowiskiem wielkomiejskim. Prawda, niekiedy normalne funkcjonowanie uczelni jest niemożliwe bez ułatwień wielkiego miasta. Wydział medyczny nie może rozwijać się bez klinik i szpitali; szkoła handlowa musi mieć żywy związek z najaktywniejszymi ośrodkami handlu, ale istnieje cały szereg takich wydziałów i uczelni, które bez wielkiego dla siebie uszczerbku mogłyby zostać przeniesione do jakiegoś Płocka czy Radomia.

Zagadnienie dekoncentracji szkół akademickich nie traci swej aktualności nawet w tym wypadku, gdy się zgóry założy, że opory bezwładności uniemożliwią jakąkolwiek reorganizację terytorialną obecnie istniejącego aparatu wyszkoleniowego. Brak dziś w Polsce poważnych przeciwników tezy o konieczności rozbudowy szkolnictwa wyższego. Można zatym przypuszczać, że stały wzrost zapotrzebowania na siły fachowe istotnie doprowadzi do zwiększenia ogólnej zdolności produkcyjnej szkół wyższych. Karygodnym błędem byłoby w tym wypadku dalsze wypaczanie i tak już niepożądanej struktury.

Skądinąd wreszcie oczekiwać należy rozbudowy szkolnictwa wyższego jeszcze w jednym kierunku. Stwierdziliśmy już, że racjonalna praca szkoły akademickiej jest uzależniona od ścisłej współpracy ucznia i profesora. Niezbędnym warunkiem tego jest powierzenie każdemu profesorowi takiej ilości wychowanków, aby był w stanie nimi pokierować. A więc stosunek ilości studentów do ilości profesorów nie może przekraczać empirycznie ustalonego maksimum. W Polsce wartość przeciętna tego stosunku wynosiła w roku 1934/35 61 tj. na jednego profesora lub zastępcę profesora wyższej uczelni przypadało 61 studentów. Na Politechnice Warszawskiej w roku bieżącym stosunek ten wzrósł do 75. Nie trudno domyślić się, że prowadzenie takiej ilości studentów przekracza możliwości przeciętnego wychowawcy. Podobno na politechnikach (Technische Hochschule) niemieckich jeden profesor przypada na 15 uczniów, a na belgijskich, uważanych na zachodzie Europy za uczelnie wybitnie masowe, jeden na trzydziestu pięciu.

Należy się więc domagać, aby nieodzowne zwiększenie ilości katedr stało się wstępem do planowego rozmieszczenia nadmiernie dziś skoncentrowanych zakładów naukowych. Poniesione przy tym koszty będą z całą pewnością wyrównane przez korzyści wynikające z uzdrowienia struktury szkolnictwa wyższego, związanego z tym wzrostu wydajności pracy oraz zwiększonych efektów wychowawczo - naukowych.

Istnieje wreszcie wzgląd dodatkowy, przemawiający za zwiększeniem ilości miast akademickich. Podnoszone ze wszystkich stron hasło upowszechnienia kultury może być zrealizowane o wiele łatwiej, jeśli zwiększy się ilość ośrodków o wysokim potencjale kulturalnym. Połączenie wiedzy profesorów z dynamizmem młodszych sił naukowych i młodzieży akademickiej może stać się pierwszorzędnym atutem w tej akcji. Niezbędnym jednak warunkiem jest stworzenie uczelniom pola do ekspansji oraz zapewnienia im dostatecznej prężności wewnętrznej. Atmosfera panująca dziś w nich, a mająca główne swe źródło w monstrualnym wzroście liczebnym nie stwarza nadziei powodzenia przy zachowaniu dotychczasowej struktury.

Tak się dziwnie składało, że zagadnienia strukturalne, choć palące przez pełne 20 lat naszej niepodległości, były stale przysłaniane przez inne raczej przypadkowe, nadmiernie wyolbrzymione sprawy. Jak kiedyś problemy czysto materialne, czy późniejszy tak zwany „kryzys inteligencji" tak w ostatnich kilku latach nad życiem akademickim ciążyła zmora zagadnień politycznych (czy może raczej policyjnych). Dziś, gdy motopompy zażywają nareszcie zasłużonego spokoju, a zawsze ci sami inspiratorzy zamętu w ostatnich swych próbach rewoltowania opinii uciekają się właśnie do wysuwania postulatów strukturalnych: konserwowania faktycznego monopolu na wiedzę i naukę, dobrzeby było, aby został wreszcie stworzony plan racjonalnej przebudowy i rozbudowy szkolnictwa akademickiego.

(Z. B.)

[1]) Na uroczystości inauguracji roku akademickiego.

Na wspólnych drogach

Dwudziestolecie odzyskania niepodległości łączy się z przemianą, całego systemu politycznego rządzącego Europą. Na gruzach traktatów zawartych w następstwie wielkiej wojny, powstaje nowy porządek w którym Polska zajmuje poczesne miejsce. Jednocześnie coraz silniej daje się odczuć konieczność związania całego społeczeństwa z dążeniami naszej polityki zagranicznej. Przy całej jednak dobrej woli szerokich mas ludności, panuje u nas niezrozumienie tej tak ważnej dla państwa dziedziny. Nie omylimy się chyba twierdząc, że płynie ono z brania pod uwagę jedynie elementów sytuacji obecnej, często doraźnych jedynie, przy pomijaniu odwiecznych praw rządzących naszym krajem, z natury tak jego położenia geograficznego jak i sąsiedztwa z innymi narodami. Praw tych uczy historia. że nasza została przerwana latami niewoli, tym silniej powinniśmy dążyć do nawiązania nici tradycji. Pomocne nam będą głosy tych, którzy przy każdej zmianie stosunków ogólno-europejskich, starali się, mimo zmazania Polski z mapy Europy, określić jej drogi i zadania. Głosem takim były w połowie zeszłego stulecia artykuły Stanisława Worcella, wybitnej postaci emigracji polskiej we Francji, redaktora „Demokraty Polskiego", wychodzącego w Paryżu.

Obecnie ukazał się przedruk trzech z nich, z 23 czerwca, 14 lipca i 28 lipca, omawiających stosunki polsko - węgierskie. Ich rewelacyjna wprost aktualność kazała nam zająć się nimi bliżej.

Jako motto artykułów, które się ukazały pod wspólnym tytułem „Polska a Węgry", Stanisław Worcell drukuje głos bezimienny z XIV wieku przytoczony przez Naruszewicza.

„Strzeżcie się Mości Panowie Węgrzyni i nawzajem Mości Panowie Polacy, wszelkiego nadwyrężenia, wszelkiego pogwałcenia sojuszu uczynionego wedle postanowień patronów świętych obojga królestw, i szanowanego przez długie czasy: abyście nie ściągnęli na się kaźni Boga i pomienionych świętych Jego, a nieszczęścia swojaków. Albowiem nie godzi się sąsiadowi wojować z sąsiadem. Owszem obie strony powinny w szczerości i wierze stać jeden drugiej ku pomocy, a przysłudze i nieprzyjaciołom zastawiać się obopólnie".

Worcell stwierdza, że pogląd ten stał się w obu krajach artykułem odwiecznej wiedzy politycznej.

„A ta polityczna obopólna wiara, przeżywszy tysiącletnie prawie koleje klęsk i pomyślności, zmiany pokoleń, interesów i rządów, utratę nawet samodzielnego bytu, stała się, że tak powiem, narodowym instynktem Polaków i Węgrów".

Wrogiem jego były panslawistyczne dążenia czeskie. Opierając się na przesłankach historycznych, Worcell kreśli obraz kruchości organizmu, któryby powstał wedle tych recept. Losy Wielkiej Czechosłowacji dobitnie potwierdziły słuszność tezy Worcella.

„Filologowie czescy, wymarzywszy sobie jakąś przedchrześcijańską Słowiańszczyznę, jakąś rzeszę powiatowszczyzn, bez możliwego ładu ani składu, bez żadnej politycznej ani społecznej spójni — dążność krajów wysuwali z językowych podobieństw, a na gramatycznych formułach opierali nieśmiertelne prawa i obowiązki Ludów. Istni budownicy babilońskiej wieży, chcieli rozcinać narodowości zrosłe w narodowość, chcieli za pomocą filozoficzno-anatomicznego nożyka, dysekować żywe narodów organizmy i wypruwać z nich żyły krwią bijące, aby je kiedyś plątać znów i wiązać, w jakąś nieznaną martwą dzierganinę: chcieli kruszyć na odłamy, tłuc na proszek głazy i marmury, aby z tego proszku lepić kiedyś jakiś gmach nowy, jakiś zamek na lodzie, wyśniony w mózgownicach, jakąś pedantyczną dyplomatyką zawieruszonych..."

„Przecież hasło obałamuconych i bałamucących Czechów, rozległo się w różnych stronach Słowiańszczyzny. Od Mołdawy po Sawę, zagrzmiało jednogłośnie. „Hajże na Madziarów"!

To samo hasło znalazło wyraz w traktacie w Trianon. Ale tak jak nie uznała go Polska niepodległa, tak nie uznali go Polacy w XIX wieku. Stało się to dzięki głęboko zakorzenionemu instynktowi narodowemu.

„Ale instynkt, sympatia Ludów, są to dźwięki, próżne znaczenia, są to oklepane wyrazy, jeśli czegoś nie umiemy pojąć, ani zdefinjować; gdy przeciwnie, braterstwo Węgrów i Polaków jest rzeczywistym, określonym objawem. Musi mieć przeto dotykalne i pewne podstawy gdzieś i w czymś... Oto owe słowa przestrogi, ów akt politycznej wiary od kolebki obu narodów, bywał prawie zawsze węgielnym kamieniem, podwaliną obopólnych między nimi stosunków..."

„Na sojuszu węgierskim oparł Chrobry politykę polską, wielką po wszystkie czasy, i prawdziwie narodową. Wzmocnił ją traktat Spiski (1108), a traktat Starowiejski (1193) stwierdził i uświęcił. Umowa internacjonalna (1401), jakoby uroczyste wyznanie politycznej wiary, ogłosiła nietykalność braterstwa obu narodów, nawet na przypadek nieprzyjaźni i wojny między panującymi. Wkrótce też potem (1410) gdy Zygmunt Węgierski wyprawiał do Polski zaciężne pułki swoje dla dywersji na korzyść Krzyżaków, żaden Węgier nie chciał przyjąć dowództwa"...

...„A w całym przeciągu dziejów, szala wzajemnych przysług i poczciwego sąsiadowania, równoważy się nieustannie. Jeżeli Bolesław Śmiały dopomagał Węgrom przeciw własnym ich królom, Andrzejowi i Salamanowi, Węgrzy posiłkowali Polakom za Leszka Czarnego przeciw Konradowi Mazowieckiemu. Jak Zapolski, tułacz, gościł u Tarnowskiego, tak wprzódek Łokietek u Amadeja. Z Węgier on i z Węgrzynami przybył ocalić Polskę, i założyć podwaliny jej rozrostu i potęgi".

„Jeżeli Polacy zasłużyli się Węgrom z Zawiszą Czarnym, Paniewskim za Matiasza; z Gnoińskim w nieszczęsnej pod Mochaczem klęsce; wywdzięczyli Polsce Węgrzyni i w krzyżackich i brandenburskich, za Łokietka wojnach, i za Batorego dzielną pod Bekieszem piechotą"...

...„Nie próżna więc ani przypadkowa sympatia, ale dzieje ośmiu wieków wiążą Węgrów i Polaków:", wiąże ich pamięć wspólnych klęsk i zwycięstw, ogólnej potęgi i wspólnego choć niejednoczesnego poniżenia; wiąże ich długa spółka w europejskiej misji. Oba te narody będą miały zawsze wspólnych przyjaciół i wrogów; bo to wypływa z ich usposobień moralnych i geograficznej przestrzeni. Razem one wzrastały, razem kwitły, razem więdły, przeto znów razem odrodzą się i zazielenią, bujniej niż kiedykolwiek.

„Węgry a Polska, te dwa wiekuiste dęby, każdy z nich wystrzelił pniem osobnym i odrębnym: ale ich korzenie szeroko rozłożone pod powierzchnią ziemi, splatały się i zrastały niewidomie. Stąd byt i czerstwość jednego, jest drugiemu warunkiem życia i zdrowia. Stąd, po pięciuset latach, przestroga bezimiennego autora tak prawdziwa trafna i świeża".

Rozważając wysuwany przez panslawistycznych Czechów zarzut, jakoby Madziarzy gnębili inne narodowości, wchodzące w skład ich państwa, Worcell stwierdza:

„Był ucisk, ale ucisk kastowy, przewaga jednych warstw narodu nad drugimi, bez względu na krew i mowę. Ucisku narodowego nie było. Magnat i szlachcic węgierski mógł gnębić mieszczanina i chłopa, nie zaś Madziar Słowianina lub Rumuna. żywioł Madziarski, Słowiański i Rumuński stosunkowo równie jest rozlany między magnatami i szlachtą, jako też między chłopami i mieszczaństwem. Chłop i mieszczanin Madziar, nie był swobodniejszym od Słowiańskiego lub Rumuńskiego. Szlachta Madziarska nie miała rozleglejszych przywilejów nad Słowiańską i Rumuńską. Prawodawstwo nie znało różnicy. Huniad Ruman, rządził Węgrami, syn jego siedział na tronie".

„Równie bezzasadnym jest zarzut, jakoby Madziarowie dążyli do wynarodowienia Słowian i zatracenia ich języka. O tym nigdy nie myślano, chyba może w ostatnich latach i to wskutek panslawistycznej dążności literatów czeskich".

„W Węgrzech nie tylko Madziarowie i Słowianie utrzymali odrębność języka,ale nawet mniej liczni Rumuni, nawet Niemcy sporadycznie rozrzuceni".

Tu Worcell wysuwa bardzo ciekawą tezę :

„Snać zatarcie rodowości i że tak rzekniem koekwacją mowy, dwojakim tylko dzieje się sposobem: albo koekwacja despotyzmu, to jest gwałtem i przemocą; jak wszędzie w Słowiańszczyźnie pod panowaniem Germanizmu i Moskwy, albo koekwacją demokracji i swobody jak w Polsce, to jest przewagą intelektualną jednej mowy nad drugą, uczuciem wspólnej potrzeby, dążnością ku obywatelskości i braterstwa".

„Przeto Germanizm wyosobjąc i gnębiąc Słowian, wydziera im rodowość i mowę. Przeto Litwin przemówił po polsku dla wyższości językowej w prawodawstwie i literaturze”.

„Przeto Niemiec spolszczył się u nas, bo w szlachcie polskiej widział obywatelskość i braterstwo nie znane gdzie indziej”.

Inaczej na Węgrzech:

„W Węgrzech nie było ani despotycznej ani demokratycznej koekwacji. Żaden tam z języków rodowych wykształceniem i umysłowymi skarby nie wystrzelił znakomicie górą ponad inne. Szlachta węgierska objuczona wpływem oligarchii, nie oddychała tak pełną piersią jak szlachczyzna polska, w atmosferze obywatelskości i polityki. Prawodawstwu i sądownictwu starczyła łacina, naród więc nie uczuł potrzeby i konieczności swojskiego, ściślejszego, węzła jednej wspólnej mowy”.

Na jakich więc podstawach opierało się owe nieszczęsne „hajże na Madziarów” odmawiające im prawa do życia i czynu?

„Oto stąd i za to, że Madziarowie przed lat tysiącem, przed przyjęciem wiary osiedli w przedchrześcijańskiej słowiańszczyźnie i obalili morawskie państwo Świętopełka”.

Wszelki Lud skądkolwiek i kiedykolwiek przybyły, staje się prawowitym i swojskim, skoro spełnia narodowe obowiązki, tak w szczególe, względem ojczyzny, czyli ziemnicy, na której żyje, jakoteż w ogóle względem człowieczeństwa. Podwójne te obowiązki ciążą na każdej narodowości i są źródłem wszelkiego jej prawa. Czy zaś rodowości węgierskie dopełniły i dopełniają owych obowiązków. Odpowiada na to przeszłość i teraźniejszość wielkimi imiony Ś. Stefana, Huniada i Koszuta”.

„Dla nas przeto rzecz zupełnie obojętna skąd Madziarowie przybyli przed dziesięciu wiekami, a nawet czy Słowian wytępili wtedy, jak my Jadźwingów, czy też łączyli się z nimi jak my z Litwinami. Są to bowiem kwestie tak oddawna umarłe dla Węgrów i dla nas, jak kwestia Celtów, Anglosasów i Normanów dla Anglików, lub Gallów, Franków i Burgundów dla Francuzów”.

„Ale polityka filozoficzna inaczej sądzi. Dla niej tysiąc lat przemknęło bez wieści i śladu. Ona w Koszucie widzi zawsze Almusa lub Arpada — w Jelaczycu zaś morawskiego Świętopełka; a tłumy przez nią otumanione walczą przeciw Węgrom z zażartością żaków, ciskających kamieniami na żydów, za umęczenie Chrystusa Pana”.

Następuje krótki zarys historyczny, przedstawiający osiedlenie się Madziarów w centrum Europy. Ciekawsze od niego są dla nas poglądy świetnego publicysty na tak dziś aktualną kwestię narodowości. Tworzą one systemat historyczno-filozoficzny, którego słuszność wypadki ostatnich lat dwudziestu potwierdzają w zupełności.

„Ani wątpić, że zwycięstwo ogólnej tegoczesnej rewolucji, wyrodzić musi nowy skład narodowości europejskich, nie wedle samych różnic językowych i rodowych, jako marzy polityka filozoficzna, bo to byłoby rozkawałkowaniem na powiatowszczyzny, morderstwem i dyssekcją narodowych organizmów, krokiem wstecznym w cywilizacji, istną wieżą babilońską i chaotycznym zamęczeniem społeczeństw — ale wedle przyrodzonych granic każdego narodowego obszaru, wedle warunków wspólności lub sprzeczności obyczajów i tradycji, a nade wszystko wedle ogólnych potrzeb człowieczeństwa, będących pierwotnym źródłem praw i obowiązków wszelkiej narodowości bez wyjątku.”

„Nieśmiertelne prawo postępu, dąży do skupienia, łączenia i masowania szczegółów w ogóły. Z połączenia pojedyńczych ludzi wynikły rodziny z rodzin — rodowości, z rodowościów — narody. Z narodów zaś zawiąże się kiedyś jedność i ogólne braterstwo człowieczeństwa. Nim ten ostatni ideał wcieli się w rzeczywistość, poprzedzić go muszą federacje narodów zbliżonych wzajem tożsamością posłannictwa czyli funkcyj w ogóle społeczeństwa, tudzież wspólnością wewnętrznych i zewnętrznych potrzeb; stąd bowiem naturalne i konieczne sympatie i powinowactwa między narodami. Postępowe prawo skupienia i masowania ma to do siebie, że im dalej od szczegółu ku ogółowi tym bardziej, w miarę coraz obszerniejszego obwodu, zwalnia się ścisłość łączącego węzła. Krew jest spójnią rodziny; plemienność i mowa rodowości, misja zewnętrzna i wewnętrzna spójnię narodu. Ideałem przeto, do jakiego każden naród dążyć powinien musi być rodzime braterstwo, zespolenie narodowościów, czyli centralizowanie, ideałem zaś człowieczeństwa, braterstwo ludzi przez stowarzyszenie narodów, czyli federacja. Stąd wypływają dwie prawdy: pierwszą, że kosmopolityzm jest zawsze zdrożny i występny, bo jak obowiązki względem społeczeństwa nie uwalniają od obowiązków rodzinnych, tak obowiązki względem człowieczeństwa nie mogą nadwerężać obowiązków względem ojczyzny. Wtóra zaś, że jako wszelka federacja w narodzie, byłaby dążnością wsteczną, odśrodkową, zwalniającą ścisłość spójni — tak częściowe federacje między narodami będą podstępem, ześrodkowaniem i shartowaniem braterskiego uczucia Ludów, poprzedzającym koniecznie ogólne stowarzyszenie narodów i braterstwo całego człowieczeństwa, on ideał prawdziwego chrystianizmu, ideał ostatni i najdoskonalszy, ono, wedle słów pacierza ziszczenie woli bożej na ziemi i przyjście królestwa bożego, jakie jest w niebiesiach.”

Opierając się na swojej teorii ogólnej, Worcell przewiduje powstanie w Europie trzech bloków: Zachodnio-południowego, opartego na Francji, środkowego z przewagą Niemiec i północno-wschodniego, którego osnową stanowić będzie Polska.

„System zachodnio południowy wystarcza sam sobie... Tak samo system północno wschodni...”.

„Inna rzecz wcale z systemem środkowej Europy: Niemcy, naród czterdziesto milionowy, nie ma zanadto ziemi: dodajemy do tego smocze łakomstwo starego Germanizmu, tę odwieczną i jakoby wrodzoną przywarę, której wolni Niemcy pozbędą się zapewne, ale nie tak doraźnie; dodajmy ich chętkę osiedlenia się w cudzyźnie i bezecny nałóg poczytywania za niemczyznę każdą piędź ziemi, po której Niemiec stąpi, każdy kąt świata, gdzie tylko zabrzmi niemiecka mowa, bądź w Polsce, bądź w Czechii lub na Węgrzech, zaledwie nie w Ameryce; zważmy, że Szwecja lub Norwegia nie znęci przybyszów, a od Francji i Włoch odtrąci ich potężniejszy system zachodnio-południowy, zważmy to wszystko, a pojmiemy łatwo, jak całą dążnością swoją, pochyla się ku nam, a nade wszystko ku czarnemu morzu, za brzegiem Dunaju”.

„Może nam kto zarzuci, pocóż jednolitość Niemiec, jeśli Niemcy zespolone mają bruździć innym narodom? Odpowiedź na to prosta i oczywista. Jednolitość Niemiec jest koniecznością i potrzebą. Koniecznością, bo naród wielki musi połączyć się i zmasować; potrzebę zaś dla nich, dla Europy i dla nas, bo inaczej byliby wieczystym otwartym bojowiskiem, bo jako martwa, negacyjna potęga, stawaliby się łupem każdej chciwości i przemocy, dodatkiem materialnej siły, narzędziem ku pognębieniu innych”.

„Ale przy onym ciążeniu jednolitych Niemiec ku ujściu Dunaju, cóżby poczęła narodowość węgierska? Miałażby się łamać z Germanizmem, może przez wieki ze szkodą stron obojga i całej ludzkości. Nie maszże żadnego sposobu usypania tamy ku odparciu grożącego zatopu?”

„Jest sposób, a nawet łatwy, niechybny, naturalnie wynikający tak z historycznej przeszłości, jako też z geograficznego położenia oraz przyszłych obowiązków i potrzeb. Sposób ten polega na ścisłym sfederowaniu narodowości Polskiej, Węgierskiej i Rumuńsko-Włoskiej. Federacja ta byłaby postanowieniem systemu północno-wschodniego w równowadze z innymi; zabezpieczeniem europejskiego pokoju i postępu chrześcijaństwa. System ten Polsko-Węgierski uzupełniłby i udoskonalił dawne stanowisko Polski i Węgier, urzeczywistniłby ową wielką myśl co błysnąwszy na chwilę w XV wieku, wnet zgasła w męczeńskiej krwi Warneńczyka.”

„Przez ten system Polska oparta o czarne morze silnie a szeroko, przegrodziłaby w poprzek Europę od końca do końca, kładąc z jednej strony nieprzepartą zaporę wdzieraniu się Germanizmu, z drugiej zastawiając samychże Niemców i resztę Europy, czy od carskiego knuta, tak dziś groźnie świstnącego nad jej plecyma, czy nawet od republikańskiej może niegdyś Moskwy, gdyby jej przyszła chętka pójść na zewnątrz wydeptaną ścieżką caratu”. (Co się jak wiemy rzeczywiście stało).

„Wnioskując o potrójnym na przyszłość politycznym systemacie w Europie, nie myślimy wcale, aby federacja ludów była mostem do ich jednolitości i do zatarcia piętu i różnic narodowych. Wiemy, że Hiszpan ani Włoch nie przedzieżgnie się w Francuza, ale sądzimy, że w każdym z osobna systemacie politycznym nastąpi zupełna harmonia tak wewnętrzna, jak zewnętrznej dążności, w naszym zaś, północno-wschodnim, ściślejsza nawet niż gdzieindziej spójność, bo będziem narażeni na nacisk zewnętrzny.”

„Federacja Polski, Węgier i Wołoszy, oto wielka przyszłość

Europy, oto odbudowanie europejskiej postępowej, świetnej i potężnej Słowiańszczyzny. Wyrośnie ona z krwi przelanej nad Wisłą i Narwią i z krwi bohaterskiej dziś płynącej nad Dunajem, Cissą i Alutą. Naprzód krzyżownicy wolności! Duchy Bolesławów. Wojciechów i Stefanów, Lazarów, Warneńczyków i Huniadów, duchy Zrinich i Czarneckich unoszą się ponad wami i wspólnie wam błogosławią. Choćbyście wy zginęli, powstaną nowi obrońcy i mściciele. Krew Słowiańska i Madziarska wytoczona i zmieszana razem zmyje wszystkie plamy jakichkolwiek uraz wzajemnych a w wyzwolonej, przestronnej i republikańskiej ojczyźnie, znów po staremu trzy główne rzeki i trzy morza, zagrają potomkom waszym, ale stokroć głośniej i chlubniej aniżeli grały praojcom w zamierzchłej dziś przeszłości".

Powyższe wywody znajdują świetne uzupełnienie w artykule Worcella z dn. 5 maja 1849.

„Polska i Węgry mają w Karpatach wspólną geograficzną podstawę. Zasada lub dążność, jaka zwyciężywszy po jednym stoku Karpat, dopóty nie zabezpieczy się, ani ustali, póki nie zwycięży i po drugim. Obie te narodowości powołane są do jednakowego posłannictwa i solidarnie pełnić je powinny. Żywotność jednej zależna od żywotności drugiej. Rozbiór Polski nie byłby może nastąpił, obok niepodległych Węgier, — ani ujarzmienie Węgrów obok swobodnej i rządnej Polski. Pomyślność lub niedola jednej z tych dwóch narodowości jest i będzie zawsze wspólną pomyślnością i niedolą".

„Polska w początkach rozrostu swego, parta gwałtownie od wschodu i zachodu, czy sprostałaby jednoczesnemu z dwu stron ciśnieniu, nie mając pleców szerokich i bezpiecznych? Sojusz ten węgierski był owymi plecami, a zarazem główną osią polityki Bolesława Chrobrego".

Minęło dziewięćdziesiąt lat...

W chwili gdy ważą się losy polsko-węgierskiej granicy, słowa Worcella przybierają postać kategorycznego imperatywu, nakazującego wytężyć wszystkie siły dla nawiązania w całym jej blasku, wiekowej polityki Rzeczypospolitej Polski.

Blaski i cienie naszego rolnictwa

Co może nas najbardziej uderza w różnych artykułach na tematy rolnicze, czy w ogóle dotyczące kwestii wsi, to zbyt płytkie i niewłaściwe podejście do tych zagadnień. Większość pism, których naczelnym zadaniem, zdawałoby się, jest gruntowne oświetlenie spraw wiejskich, nie trzyma się żadnego pionu, zdążającego w pewnym z góry oznaczonym kierunku.

Niepilnowanie się zaś ściśle określonego planu, jeżeli oczywiście to czy inne pismo taki posiada, sprowadza duży chaos w poruszanych zagadnieniach. Można pisać o chłopie, wsi, rolnictwie i ich bolączkach z punktu widzenia endeckiego, ludowego, socjalistycznego, czy też jakiegokolwiek bądź innego.

Będą to oczywiście głosy ludzi polityki, dodajmy o mniejszym czy większym oddechu propagandowym. Ale propaganda czysto werbalna, podlana sosem literackim, tak działa na chłopa, tak mu szkodzi i pomaga, jak przysłowiowemu „umarłemu kadzidło".

Dzisiejsza cała literatura małego kalibru poświęcona sprawom wsi zeszła na manowce. Albo drukuje się długie „wsiowate" elaboraty, naszpikowane cyframi i tablicami, albo pisze się lekkie felietony, zawierające oświadczyny największej „przyjaźni" i „miłości" dla chłopa.

Że teksty tych oświadczyn bywają ubogie, to sprawa drugorzędna, ale że chłop nie ma z tego najmniejszego pożytku, jest to niezbitym faktem. A przecież chyba piszącemu artykuł na temat kwestii rolniczej w Polsce powino chodzić o coś więcej niż wypisanie się na nie zawsze właściwy temat. Musi być pewna, płynąca z głębokiego przekonania idea, która zamyka się w słowach prostych, lecz szczerych. Ale, jeśli jest pewna idea, musi być i sposób zrealizowania jej. Dlatego też jedynie racjonalną i pożyteczną lekturą, traktującą o zagadnieniach wiejskich, stanie się ta lektura, która z jednej strony będzie pouczała wieś o mieście, z drugiej będzie mówiła miastu o wsi. Wreszcie trzeci rodzaj lektury to praca napisana w celu uświadomienia chłopa jako rolnika. Chłop musi wiedzieć, co to jest produkcja, kapitał, inwestycje gospodarcze, organizacja pracy. Im więcej i przystępniej pouczymy go, przy jakim systemie gospodarki można osiągnąć największy dochód, tym prędzej doprowadzimy naszego żywiciela do stanu możliwej zamożności. A że wylewanie dotychczas atramentu było i długo jeszcze będzie, bezcelowe, świadczy o tym choćby taki fakt, że chłop stosował w XIV w. w Polsce system gospodarki trójpolowej i dzisiaj stosuje, z tą jedynie różnicą, że od końca XVIII wieku wprowadził do uprawy rośliny okopowe w pierwszym rzędzie kartofle. Za taki stan nie możemy winić chłopa, albowiem za mało dokładamy starań, by chłop, jako właściciel warsztatu rolnego, wyszedł ze średniowiecznego trybu gospodarki. Chociaż trzeba z naciskiem to podkreślić, że warunki dla rozwoju rolnictwa w Polsce są sprzyjające.

Położenie geograficzne kraju, ukształtowanie pionowe, warunki klimatyczne i wreszcie różnogatunkowość gleb — wpływają na pomyślny rozwój naszego rolnictwa. Niemniej mamy do zanotowania wiele mankamentów natury czysto strukturalnej rolnictwa polskiego. Przekonywujemy się najlepiej o różnych blaskach i cieniach ustroju rolnego w Polsce, po przeczytaniu bardzo dobrej pracy prof. dra Żabko-Potopowicza p. t. „Rolnictwo w Polsce" (Stan, bolączki, zadania, drogi naprawy).

Praca prof. Żabko-Potopowicza jest cennym wkładem w dorobku literatury rolniczej i nie tylko wysuwa się na czoło prac o tym charakterze, lecz jest czymś co stanowi ogólną syntezę interesujących nas problemów. Napisana żywo i ciekawie posiada i tę zaletę, że może przynieść wielkie korzyści i drobnemu rolnikowi i potentatowi rolnemu; również posiada dużą wartość dla badacza ustrojów rolnych. Możnaby wprawdzie zarzucić autorowi pewną wadliwość układu, a także niezupełne wyczerpanie literatury „ciężkiej", lecz byłyby to rzeczy nieistotne i na tym miejscu niewłaściwe. Najważniejsze jest to, iż książka wypełniła poważną lukę w piśmiennictwie rolniczym i że prawdopodobnie stanie się dla wielu pewnego rodzaju vade mecum, tak jak np. Kuliszer był tym vade mecum do chwili ukazania się Historii Gospodarczo - Społecznej Doc. Inglota, do którego pracy wkrótce powrócimy.

Odnośnie kwestii poruszonych przez p. Żabko-Potopowicza, trzeba przyznać, iż życie rolnicze potraktował w swej pracy we wszystkich jego przekrojach. I chociaż autor, jako specjalista od spraw agrarnych (uczeń Z. Ludkiewicza), nie daje nam żadnych recept na przyszłość, przeznaczając to na temat drugiego tomu mającego wkrótce się ukazać, to jednak to co w tym tomie omówił umożliwia nam wyciągnięcie pewnych, niestety niezawsze optymistycznych wniosków.

Jako jedno z naczelnych haseł podniesienia dobrobytu chłopa wysuwa się kwestia produkcji. Produkcja zaś sama, będąca tylko jednym z wiązadeł całego ustroju agrarnego, ulega częstym fluktuacjom zależnie od tego jaki wpływ wywierają na jej wzrost i upadek: kapitał czynny, kapitał bierny, praca, koszty, wreszcie kierownictwo. Po drugiej stronie zagadnienia produkcji stoi użytkowność jej czyli konsumcja. I tutaj wchodzimy in medias res wszystkich bolączek naszej wsi. Najważniejszą bowiem dla nas rzeczą jest należyte uświadomienie sobie, w jaki sposób nasza produkcja rolnicza zostaje spożyta.

Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przy dzisiejszym ustroju naszego rolnictwa, gdzie większość warsztatów pracy to gospodarstwa karłowate do 5 ha, znaczna bardzo część (często również całość) tej produkcji nie wykracza poza obręb warsztatu rolnego, lecz zostaje w nim spożytkowana na potrzeby właściciela i jego rodziny. W ten sposób gros naszych warsztatów rolnych przedstawia sobą karykaturę gospodarczą.

Nie mając nic do zdobycia na rynku, chłop jest pozbawiony jakiegokolwiek dochodu z zewnątrz. Brak zaś udziału drobnych gospodarstw w handlu rynkowym odbija się fatalnie nietylko na jego stanie materialnym, ale stwarza w naszej strukturze gospodarczej nienormalne zjawisko. Na rynku znajdują się wytwory produkcji, pochodzące przeważnie z większej, ponad 50-hektarowej wła-

sności. Wprawdzie wiele się robi w kierunku utrzymania ceny płodów rolnych na odpowiednim poziomie, ale wysoka cena nie wywołuje jeszcze reorganizacji warsztatów rolnych.

Trudno doprawdy o bardziej istotną radę, jak przyspieszenie zlikwidowania gospodarstw karłowatych, tym prędzej winna nastąpić likwidacja tych anomalii gospodarczych, im więcej zależy nam na podciąganiu chłopa choćby do przeciętnego poziomu życia. Upieranie się zaś przy tezie, że małe gospodarstwa są bardzo pożyteczne, ma swe źródło w jakimś dziwnym pomieszaniu pojęć. Wiadomą jest rzeczą, iż w miarę zmniejszania się rozmiaru gospodarstwa rolnego kurczy się możliwość zbytu płodów rolnych. Zjawisko to postępuje w ten sposób, że na pewnym stopniu (gospodarstwa do 5 ha) producenci rolni, w tym wypadku chłopi, stają się nabywcami. W praktyce jednak sytuacja taka nie zachodzi. Albowiem chłop który nie posiada nic do sprzedania ze swego gospodarstwa, nie może również być nabywcą. I wobec tego chłop przestaje brać udział w ogólnym życiu gospodarstwa zawodowego.

Taki stan możemy dziś zaobserwować w całej Polsce, nie mówiąc już o poszczególnych okręgach, np. południowo-wschodnich, gdzie istnieje zastraszające przeludnienie w rolnictwie, prowadzące do różnych narzekań, że tylko tak powiemy. Jeśli więc idzie o zagadnienie produkcji i konsumcji w małych gospodarstwach rolnych, nie należy teoretyzować o podniesieniu.

Można być zwolennikiem małej czy większej własności, ale trzeba sobie uświadomić, że gospodarstwo karłowate nie jest i nigdy nie będzie warsztatem, mającym przed sobą jakiekolwiek widoki pracy może wyżyć co najwyżej chłop z rodziną, nie dając nic na rynek. Oczywiście nie mam tu na myśli t. zw. gospodarstw przemysłowych, czy też pomocniczych, które nawet przy obszarze np. 3 ha mogą spełniać dodatnią, rolę gospodarczą. Ale jeśli idzie o zwykłe rolne gospodarstwa to dopóty nasz chłop będzie umierał z głodu, dopóki nie zginie dziwoląg gospodarstwa rolnego.

Chłop dzisiejszy bieduje, pozbawiony najprymitywniejszych potrzeb człowieka XX wieku. Odsunięty od miasta, od „panów", jak mówią poleszucy, sprzedaje strzępy zebranych płodów celem zaspokojenia swych pierwszych potrzeb, jak kupno soli czy nafty. A za ten stan musimy winić przede wszystkim tych, którzy poruszając wszelkiego rodzaju blaski i cienie naszej wsi, nie postawią wyraźnie zagadnienia: emigracji chłopa do miast i „urbanizacji" samej wsi. Nic bowiem nie rozwiąże piętrzących się przed wsią trudności, jeżeli chłopa nie zainteresujemy i nie zachęcimy do przechodzenia w inne, pozarolnicze gałęzie życia gospodarczego: do rzemiosła, handlu i przemysłu. Dopiero wówczas, kiedy odciążymy warsztat rolny od nadmiaru rąk roboczych, przekonamy się, że przeprowadzenie upełnorolnienia chłopa nie jest niemożliwe. W przeciwnym razie będziemy świadkami karłowacenia naszej siły witalnej — chłopa. A przecież wszystkim nam zależy, na tym, by tego rodzaju zjawisko zahamować.

(T. G.)

Film krótkometrażowy

O znaczeniu filmu krótkometrażowego mówić wiele nie trzeba. Każdy już dziś orientuje się, do jakich zadań film ten w pierwszym rzędzie może być powołany. Wszystkie bez wyjątku dziedziny nauki, propaganda, tygodnik aktualności, reportaże — oto niezwykle szeroki wachlarz zagadnień, które w filmowym ujęciu przemawiać mogą poprzez krótki metraż.

Biorąc pod uwagę chociażby tylko sam moment niezwykłych kosztów, związanych z produkcją normalnego filmu, który z natury rzeczy musi posiadać charakter ogólno - rozrywkowy, by produkcja jego była opłacalną — trzeba stwierdzić, że film krótkometrażowy to dziś jedyna droga, przy pomocy której zagadnienia specjalne mogą w najracjonalniejszy sposób docierać do szerokich rzesz odbiorców.

Z drugiej zaś strony nie należy zapominać, jak kapitalną rolę odegrać może warsztat krótkometrażowy w szkoleniu świeżych kadr realizatorów filmowych. Jest to jedyna dziedzina filmu, w której młodzi adepci sztuki scenariopisarskiej, reżyserskiej i operatorskiej mogą praktycznie realizować swe zamierzenia. Na terenie filmu krótkometrażowego — wreszcie — może wyżywać się dowoli awangarda filmowa, której osiągnięcia decydują o dalszym artystycznym rozwoju sztuki filmowej w ogóle.

Nie będziemy tu zajmować się tematyczną ani artystyczną stroną filmu krotkometrażowego — pisaliśmy już o tym, kilkakrotnie — chcielibyśmy natomiast rzucić nieco światła na sprawę eksploatacji filmów tego typu na naszym terenie.

Aby film krótkometrażowy mógł spełniać swe zadania musi on oczywiście docierać do wszystkich istniejących placówek kinematograficznych. Wyświetlanie go przez wszystkie kina na terenie całego kraju jest z drugiej strony warunkiem sine qua non jego opłacalności —a co za tym idzie — i egzystencji.

Otóż u nas film krótkometrażowy spełnienia tego warunku doczekać się nie mógł i — jak dotąd — doczekać się nie może. Kinoteatry stroniły bowiem przez dłuższy czas od wyświetlania dodatków krajowych z tej prostej przyczyny, że im się to nie kalkulowało. Związane kontraktami z ekspozyturami zagranicznych — prawie wyłącznie amerykańskich — wytwórni filmowych, eksploatujących długometrażowe obrazy rozrywkowe, zmuszane były drogą wzajemnych ustępstw do wyświetlania krótkometrażowych dodatków tychże wytwórni. Wobec takiej konkurencji szanse naszego filmu krótkometrażowego spadały do tragicznego minimum.

Dopiero pięć lat temu weszła w życie 20% zniżka podatkowa dla tych kinoteatrów, które przy normalnym programie wyświetlają dodatek krajowy.

Miało to być przy wysokim podatku komunalnym zachętą dla właścicieli kin do wyświetlania krajowych krótkometrażówek. W tym też kierunku została wprowadzona w r. 1932 z inicjatywy naczelnika Centralnego Biura Filmowego J. Relidzyńskiego ustawa, normująca sprawę obniżki podatku komunalnego.

Teoretycznie wszystko w porządku. Obniżka podatku komunalnego o piątą część mogłaby istotnie stanowić skuteczny impuls do wyświetlania dodatków krajowych, gdyby... nie smutna rzeczywistość, która wykazała całkowitą nieżyciowość tego pomysłu.

Ciekawe zestawienia w tej materii przynosi jeden z ostatnich numerów czasopisma „Film". Z zestawień tych wynika, że na ogólną skromną liczbę 750 kin w Polsce zaledwie 150 korzysta z usług filmu krótkometrażowego w pełni sezonu t. zn. w zimie, podczas gdy w lecie liczba ich maleje do 100. A więc w najpomyślniejszym okresie 150 kinoteatrów stanowi zamknięte pole, w którym może rozwijać swą ekspansję polski film krótkometrażowy. Te 150 kin tworzy podstawę, na której ma oprzeć swój byt i rozwój polska produkcja krótkometrażowa!

Co jest powodem tego katastrofalnego stanu rzeczy?

Okazuje się, że ze zniżek podatkowych korzystają w większości nie ci, którym przysługują i nie z tego tytułu, z jakiego zostały przyznane:

„Przede wszystkim duża część kin opłaca podatek w tej wysokości, że 20% zniżka przedstawia wartość zaledwie kilku złotych od programu. Dla tych kin zniżka 20% istnieje teoretycznie, praktycznie po zapłaceniu za dodatek choćby 5 zł. — znika. Drugą kategorię stanowią kina, opłacające podatek zryczałtowany, ustalony przez Zarząd Miejski. Dla nich sprawa domagania się od Zarządów obowiązującej prawnie zniżki, grozi podwyższeniem podatku na najbliższy okres budżetowy, właśnie o wysokość zniżki. Nakłanianie właściciela takiego kina, aby wykorzystał 20% zniżkę — nie pomoże nigdy.

Trzecią kategorię stanowią kina, korzystające ze zniżki 20% w formie ukrytej bez wyświetlania krótkometrażówek krajowych, pod warunkiem (oczywiście ustnym, trudnym do skontrolowania), że zapłacą określoną kwotę tytułem podatku. Dla tych kin kwestia 20% zniżki jest jedynie środkiem do uzyskania najdogodniejszych warunków od Zarządu Miejskiego. Z chwilą ich uzyskania krótkometrażówka krajowa do tych kin zupełnie nia trafia.

Następną kategorię stanowią kina, które zgodnie z § 91 Rozporz. Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 14 sierpnia 1936 r. uzyskują od Zarządów Miejskich zamianę podatku procentowego na ryczałtowy i przy tej sposobności uwzględniane im są z góry wszelkie przypadające zniżki podatkowe, co powoduje natychmiastowe zaprzestanie wyświetlania krótkometrażówek. Niezależnie od wymienionych kategorii kin istnieje liczna grupa wyświetlająca w swych programach 2 filmy pełnoprogramowe. Ta grupa kin w ogóle nie wyświetla krótkometrażówek".

W rezultacie 600 kinoteatrów na ogólną liczbę 750 nie wyświetla zupełnie krajowych krótkometrażówek. Nic dziwnego,

że w tym stanie rzeczy jest do pomyślenia fakt, iż film, propagujący ideę budownictwa *na wsi* jest wyświetlany poza m. st. Warszawą zaledwie w kilkunastu większych miastach prowincjonalnych, nie mówiąc już o zupełnej niemożliwości jego ekspansji na terenie wsi, dla której przecież jest przeznaczony...

Jak w podobnym stanie rzeczy film może się stać skutecznym narzędziem propagandy nietylko państwowej — ale jakiejkolwiek innej?

*

* *

Na ogólnopolskim zjeździe właścicieli kin we Lwowie naczelnik Centralnego Biura Filmowego Józef Relidzyński powiedział, że: „krótki metraż jest właśnie tym laboratorium doświadczalnym, w którym rodzą się, dojrzewają i z którego wychodzą najtęższi ludzie filmu...". W imię bezstronności należałoby stwierdzić, że jest to nader słuszne, ale niestety tylko pobożne życzenie. Tych naszych realizatorów filmowych, którzy przeszli szkołę krótkiego metrażu i wynieśli z niej realne korzyści, możnaby policzyć na palcach jednej ręki. Naogół bowiem nasze krótkometrażówki rzadko wychodzą poza zwykłą szarzyznę sztampy i normalnego banału.

Rozmaite „banalne historie", „choroby" i inne cuda p. Dromlewiczowej, osoby niezwykle płodnej w dziedzinie scenariuszy, systematycznie straszą co wrażliwszych widzów — i to na kilku zeroekranach warszawskich równocześnie. (Serie pocztówkowych zdjęć obiektów muzealnych, oddawanie przez chorego moczu, ostatnia posługa etc. etc.).

Przed kilku dniami znów chciano nas wypłoszyć z kina okropnym reportażem z jakiegoś obozu P. C. K. dla dziewcząt i chybionym „poematem" na temat krajowych ogierów. Jeżeli spośród realizatorów tych filmów, spotykanych przecież na porządku dziennym, mają wyjść ci „najtęższi" ludzie filmu, „zużytkowujący następnie swój talent i nabyte doświadczenie na szerszej arenie filmu pełnometrażowego" — to niewesoło przedstawia się przyszłość polskiego filmu.

A przecież w naszych warunkach, gdy brak nam zupełnie jakiegokolwiek szkolnictwa filmowego — krótki metraż mógłby istotnie być niebylejaką szkołą praktyczną dla jednostek uzdolnionych. Przy obecnym jednak bałaganie, jaki w tej dziedzinie panuje, jest to nie do pomyślenia. Film krótkometrażowy zdano na łaskę i niełaskę losu oraz p. Dromlewiczowej, hodowców krajowych ogierów et Co. Rezultaty — wiadome.

Stwierdzamy: państwo nie może rezygnować z tak cennego czynnika szerzenia myśli i uczuć państwowych w Polsce, jakim jest film krótkometrażowy. Produkcja krótkometrażowa winna otrzymać realne podstawy finansowe i stać się warsztatem twórczej pracy. Tego wymaga dobro polskiego filmu i państwa.

(901).

Bez komentarzy

Od członków Automobilklubu R. P. otrzymaliśmy list, który drukujemy w całości.

Wielce Szanowny
Panie Redaktorze!

Niżej podpisani członkowie Automobilklubu Polski zwracamy się do Sz. Pana z uprzejmą prośbą o zamieszczenie w swoim poczytnym piśmie listu naszego przesłanego do Automobilklubu Polski w dniu 28.10. b. r.

Warszawa, dn. 28.10.1938 r.

Automobilklub Polski
w miejscu

Od szeregu lat zagadnienie motoryzacji w Polsce uznane zostało za kluczowe i bywa omawiane na łamach prasy zarówno codziennej, jak i periodycznej przez mniej lub więcej powołanych do tego autorów. Artykuły te o bardzo różnym poziomie ujęcia reprezentują często tendencje inspiratorów, nie zawsze w sposób obiektywny oceniając stan faktyczny.

Ostatnio opublikowany w Nr. 10 czasopisma „Auto" czołowy artykuł p. Tadeusza Grabowskiego p. t. „Drugi Etap" zawiera zdanie:

„Fakt, że Zakłady Lilpopa korzystać będą z licencji General Motors Corp. każe się spodziewać, że dziesiątki milionów wyrzuconych przez ostatnie kilkanaście lat z łaski eksperymentatorów, starających się użyć niedokształconych nowicjuszy do konstrukcji najbardziej skomplikowanych elementów samochodu — nie powtórzą się".

Zdanie to w sposób niedwuznaczny godzi w zasługi ludzi, którzy sprawie motoryzacji w Polsce poświęcili się oddawna i których wysiłek dał nietylko samochody, produkowane całkowicie w kraju, lecz również kładzie podwaliny pod produkcję samochodową opartą na własnych, całkowicie polskich konstrukcjach.

Lekceważące wyrażenie się o pionierskiej pracy polskiego konstruktora samochodowego uważamy za czyn niegodny i przynoszący wstyd Automobilklubowi Polski, placówce powołanej do szerzenia i propagandy motoryzacji, a nie do siania defetyzmu przy pomocy wstępnych artykułów swego oficjalnego organu.

Jako członkowie Automobilklubu Polski protestujemy gorąco przeciwko tolerowaniu przez A. P. podobnych enuncjacji, z którymi w działalności p. T. Grabowskiego spotykamy się już nie po raz pierwszy, a które wynikają z głębokich stałych przekonań, nazbyt wyraźnie służących interesom prywatnym.

Dlatego oświadczamy, że w ciągu dni 10, tj. do dn. 7.11.38 r. oczekujemy na powiadomienie nas o decyzji usunięcia ze stanowiska naczelnego redaktora organu Automobliklubu Polski człowieka szkodliwego, w razie przeciwnym po dniu tym będziemy zmuszeni przestać się uważać za członków Automobilklubu Polski, zaś motywy naszego wystąpienia opublikować w prasie codziennej".

*

Ponieważ do dn. 7.11.38 r. nietylko nie uzyskaliśmy ze strony Automobilklubu Polski należytego zadość uczynienia, lecz w ogóle spotkaliśmy się z brakiem jakichkolwiek reakcji, uważamy to za:

1) Solidaryzowanie się Automobliklubu z zajętym przez p. Grabowskiego, szkodliwym stanowiskiem, uwłaszczającym dobremu imieniu polskiego konstruktora samochodowego.

2) Zupełne nieliczenie się ze stanowiskiem członków A. P., stojących najbliżej i bezpośrednio związanych z polskim przemysłem samochodowym.

3) Całkowitą bezsilność Automobliklubu Polski wobec krzywdy wyrządzonej przez redaktora oficjalnego organu A. P. grupie jego członków.

4) Aprobowanie wykorzystywania łamów oficjalnego organu dla niestosownej reklamy.

Wobec czego, zgodnie z zapowiedzią, występujemy z Automobilklubu Polski.

Inż. Stanisław Panczakiewicz, Inż. Mieczysław Dębicki, Prof. inż. Karol Taylor, Inż. Tadeusz Tański, Inż. Czesław Gorzelański, Tadeusz Stecki, Inż. Wacław Cywiński, Inż. Zygmunt Niewiarowski.

PROSIMY NASZYCH PRENUMERATORÓW O UREGULOWANIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY, JAK RÓWNIEŻ PRZEDPŁATY NA OKRES NASTĘPNY.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11-97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544

Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor i wydawca: Piotr Borkowski

Redaktor przyjmuje we wtorki i czwartki po uprzednim porozumieniu się telefonicznym, administracja czynna 9 — 15 prócz sobót.

Cennik ogłoszeń: za tekstem 1/1 — 300 zł, 1/2 — 160 zł, 1/4 — 85 zł, 1/8 — 45 zł, 1/16 — 25 zł, za wiersz milimetrowy — 70 gr.
Układ tabelaryczny 50% drożej.

Zakł. Graf. „Drukprasa" Sp. z ogr. odp. N.-Świat 54, tel.: 615-58 i 242-40.